Cena 18 fen. = 13 cent.



ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 15-go Września 1896. Nr. 18.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śiązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

Zdrowie jej zaczęło się widocznie polepszać; gorączka stawała się coraz słabszą, czerwone plamy zniknęły na wychudłych policzkach, niezwykły ogień w oczach przygasł zupełnie, umysł odzyskał przytomność, a jedynym śladem choroby była teraz nadzwyczajna drażliwość, jakiej nigdy przedtem nie okazywała. Ale ta łatwo dała się wytłómaczyć równie fizycznem cierpieniem, jak i przebytą poprzednio moralną walką. Od czasu pierwszej rozmowy z Franciszkiem nie wspominała już więcej o przeszłości, zwracając się chętniej do przyszłości, którą jej w tak uroczych przedstawiał barwach.

W miarę powrotu do zdrowia wolno mu było coraz dłużej przesiadywać w jej pokoju i prowadzić owe nieuplanowane rozmowy, jakie tylko rozkochani umieją budować. Dawna miss Frinksly słuchała z dziecięcą pokorą wszystkich zamiarów Franciszka, dotyczących ich przyszłego pożycia, jak również rozmów starego Hohenhofena, który coraz częściej kazał się prowadzić do chorej wnuczki. Nigdy on jednak nie okazywał jej tkliwszego uczucia; siadłszy tylko naprzeciwko niej w fotelu, całemi godzinami wpatrywał się w bladą twarzyczkę.

Pragnął, ażeby natychmiast po przyjściu do zdrowia oddała rękę Franciszkowi, przy tej okoliczności wszyscy mieli się dopiero dowiedzieć o jej prawdziwem nazwisku. Wówczas dopiero jego wnuczka miała powrócić uroczyście do zamku, jako pani wszystkich posiadłości należnych jej matce; chciał ażeby świat nie dowiedział się o podstępie, którego Edyta użyć musiała dla odzyskania praw swoich.

Względem jednego tylko Martella umyślił Franciszek być zupełnie szczerym, tem więcej, iż musiał mu donieść, iż poszukiwania jego w Brazylii, dotyczące Pereza de Silvo, były już teraz niepotrzebne.

List miał zawierać zaproszenie na wesele, co było tem pożądańszem dla Gerarda z powodu dawniejszej jego znajomości z miss Frinksly; ale właśnie narzeczona okazała się przeciwną temu zamiarowi, obstając z uporem przy tem, ażeby Franciszek pominął jej dawne nazwisko.

— Nie gniewaj się najdroższy! — prosiła z czarującym uśmiechem, — że jestem tak płochem dzieckiem, któremu nic równie tak trudno nie przychodzi, jak wyrzeczenie się jakiej psoty. Przypominasz sobie zapewne, z jakiem to uniesieniem Martell opisywał ową chwilę, w której po raz pierwszy mię zobaczył, utrzymując, że rozpoznałby mnie między tysiącem innych panien za pierwszym rzutem oka. A jednakże ja wtedy byłam tuż przy nim, śmiejąc się w duszy z tak dobrodusznego złudzenia. Dopierożbym się teraz zabawiła, gdyby przyjechawszy na nasze wesele sam poznał swój błąd, a ty właśnie chcesz mi zepsuć całą uciechę, uprzedzając go naprzód o mojej osobistości!

Franciszek rozśmiał się wesoło.

— A więc postąpię jak sama chcesz, moja najmilsza, i żeby ci nie zepsuć niewinnego figielka, napiszę tylko do Gerarda, że moja narzeczona nazywa się Beata de Silvo, którą najlepszy przyjaciel zechce zapewne poprowadzić do ołtarza. Nie wspomnę ani słóweczka o Edycie Frinksly.

Na tem zakończyła się pierwsza mała sprzeczka pomiędzy narzeczonemi.

W tydzień później nadeszła odpowiedź Martella, który najserdeczniej winszował przyjacielowi jego przyszłego związku, wymawiając się zarazem, iż z powodu nieprzewidzianych okoliczności nie będzie mógł przyjechać na wesele. Franciszek czuł się prawie obrażonym i zwrócił pytające spojrzenie ku Pauli, dla której ta odmowa była także wielce przykrą. Sama tylko narzeczona przyjęła ją najzupełniej obojętnie.

Można sobie było jednak wytłumaczyć tę obojętność smutnym stanem jej zdrowia; im więcej zbliżał się oznaczony dzień ślubu, tem bardziej okazywała się nerwową i rozdrażnioną.

To pogorszenie zdrowia starała się jaknajtroskliwiej ukrywać przed wszystkimi co ją otaczali, składając winę na niepokój, jaki zwykle ogarnia każdą kobietę przed tak ważną zmianą w życiu. Udawała z taką zręcznością, iż nareszcie przekonała wszystkich, nie wyjmując samego doktora.

Jedna tylko Paula nie podzielała wiary ogólnej, nie dała się złudzić pozorami.

Już tylko parę dni brakowało do ślubu, wszystko było przygotowane do tej radosnej uroczystości, ale narzeczonej siły z każdym dniem się zmniejszały, a jedna noc stawała się dla niej groźniejszą od drugiej. Wśród takich to dręczących, bezsennych godzin, obecność Pauli sprawiała jej niewypowiedzianą ulgę; często nawet zmęczona jakąś tajemną walką, strwożona dziwnemi widziadłami, czerpała w spojrzeniu przyjaciółki ukojenie i zasypiała w przekonaniu, że ją osłaniają skrzydła anioła stróża.

Beata nie spała; jej długie rzęsy podnosiły się zwolna, wlepiając ukradkiem trwożliwe spojrzenie w twarz Pauli. O! jakże ta była piękną ze swoim nieziemskim wyrazem w szlachetnych rysach; z jakąż miłością podawała jej lekarstwo; jak troskliwie poprawiała jej posłanie i z jak serdeczną radością spoglądała na nią, dostrzegłszy, że się nareszcie uspokoiła. A teraz? teraz pewnie się modli. Jej ręce były złożone na piersiach, a oczy zwrócone na obraz Chrystusa. Jaka mogła być treść tej tajemniczej rozmowy z Bogiem? o to pytała się siebie Beata. Modlitwa musiała być pocieszającą, bo na twarzy Pauli, pomimo bladości, jaśniał wyraz błogiego spokoju. Beata nie mogła od niej oderwać oczu, wlepiła w nią wzrok z takiem natężeniem, że Paula mimowolnie uczuć go musiała. Obróciła się więc spiesznie do chorej, która wyciągnąwszy do niej błagalnie rękę, zapytała z cicha:

— Paulo!

— Czego chcesz moja pieszczotko? — zapytała szlachetna dziewica, wzruszona łagodnością głosu, z jaką wymówiono jej imię.

— Powiedz mi Paulo, zkąd mogłaś się zdobyć na tyle miłości dla mnie..., dla mnie, która ci wydarłam wszystko, co dotąd tylko do ciebie należało?

Paulę na chwilę ogarnął przestrach, sądziła bowiem, że Beata przemawiała znowu pod wpływem gorączki. Ale wkrótce przekonała się, że tak nie jest, gdyż maleńka rączka spoczywająca w jej dłoni była zupełnie chłodna, a oczy miały blask zwyczajny.

— Nie rozumiem twego pytania, mój aniele! — odpowiedziała łagodnie.

— O Paulo! nie łudź mnie. Jesteś zbyt czystą i dobrą, ażebyś miała kłamać. Na cóż mię masz łudzić? przecież wiem, żeś kochała Franciszka, że był ci przeznaczonym od dawna, że ja ci wydarłam jego miłość. O! tak, to było źle, niegodnie z mojej strony! Wybacz mi, daruj! Pokochałam go z taką potęgą, że dla tej miłości zapomniałam o wszystkiem.

— A więc to tylko oddalało cię odemnie, Beato? Możesz być przekonaną, że nie ja cię zwodzę, to tylko ty zwiodłaś się sama. Utrzymujesz, iż szczęście mi wydarłaś, ale to szczęście dla mnie było tylko pozorne, jam go nigdy nie pragnęła z całej duszy. Kochaliśmy się z Franciszkiem od lat dziecięcych jak najtkliwsze rodzeństwo, a chociaż stryj chciał żebyśmy się pobrali, przecież żadne z nas nie podzielało tego życzenia. Możesz być pewną, że gdybyś nawet nie pozyskała serca Franciszka, nigdyby on nie był został moim mężem.

Przy tych ostatnich słowach Paula pochyliła się nad Beatą, która poznała teraz czystą prawdę. Zdawało się, że jakiś wielki ciężar spadł jej z piersi, zagadnęła bowiem prawie radosnym głosem:

— A więc ty kochasz kogo innego?

Najcudniejszy rumieniec wykwitł na licu Pauli.

— O! tak, kocham, kocham oddawna, a ta miłość zapełnia całe moje serce.

— O! wiedziałam o tem, a raczej — dokończyła z pospiechem Beata — domyślałam się tego. — Potem zaś dodała ciekawie: — czy to czasem nie pan Mar...

Ale Paula nie dała skończyć i kładąc dłoń na jej ustach, zawołała z uśmiechem:

— A bądźże cicho, dzieciaku! i zostaw drugim ich małe tajemnice. Ale poczekaj, niezadługo i ty się dowiesz o wszystkiem. Teraz jednak dajmy temu pokój, jesteś i tak już nazbyt wzruszoną, a potrzebujesz odpoczynku.

— Ależ to nad moje siły, Paulo! Ja milczeć nie mogę, jestem ledwo w połowie zaspokojona, bo jeszcze jeden ciężar spoczywa na mojej duszy, zamieniając mi twoję dobroć w bezustanny wyrzut sumienia. Paulo! pomimo tego wszystkiego coś mi powiedziała, ja jeszcze pojąć nie mogę, jakim sposobem możesz nie mieć nienawiści do mnie. Ty coś została wychowaną od dzieciństwa jako bogata dziedziczka tych ogromnych posiadłości, będąc przyzwyczajóną do uważania się w tym domu za pierwszą po stryju, jakże możesz kochać tę, co nagle zabrała twoje miejsce i wdarła się w twoje prawa?

— Alboż twoje prawa nie były starsze i słuszniejsze?

— Tak jest, ale cię nauczono lekceważyć takowe, uważać mnie za wydziedziczoną, siebie zaś za panią wszystkiego, co cię otaczało. A teraz cały gmach twoich świetnych nadziei ma runąć przezemnie! Ale nie lękaj się Paulo! Nie, ja nie zniosę tego, ja muszę ubłagać dziadka, żebyś podzielała ze mną dawne swe prawa nawet wtenczas, kiedy się Gerard, bo już teraz jestem pewną, że to on jest wybrańcem twego serca, zabierze cię nam jako żonę!

Beata mówiła z takim zapałem, że niepodobna było jej przerwać; przy ostatnich jednak wyrazach oniemiała ze zdumienia, spojrzawszy na żartobliwie uśmiechniętą twarz swej słuchaczki, która korzystając z chwilowej przerwy, odezwała się:

— Ach! ty nierozważne dziecko. Dokądże to nie zagna cię jeszcze twoja gorąca, południowa wyobraźnia? Sądzę jednak, że będzie najlepiej, jeżeli powiem ci poprostu całą prawdę, żebyś już raz przestała się dręczyć domysłami. Czy chcesz posłuchać mojego wyznania? Otóż dowiedz się, że ani Martell, ani żaden inny mężczyzna nigdy nie zabierze mnie

ztąd jako żonę, ale skoro tylko ujrzę cię połączoną z Franciszkiem, a tem samem będę mogła być spokojną o los chorego stryja, odjadę natychmiast do klasztoru Sióstr miłosierdzia.

— Jakto! czy to być może? Ty taka młoda, piękna, bogata i uwielbiana od wszystkich, miałabyś zostać zakonnicą?

— Tak jest, Beato; uczyniłabym to już dawno z największą rozkoszą, gdybym mogła wprzód spełnić moje posłannictwo, jak je dziś dzięki tobie spełniam nareszcie, wracając ci serce i majętności twojego dziadka. Wierz mi Beato, że to tylko łączyło mię najwięcej z Franciszkiem, iż już od tylu lat walczyliśmy wspólnie o przywrócenie prawa twojej matki. Usiłowania nasze rozbijały się dotąd o nieugięty upór i dumę stryja, a ciągłe podróże twojego ojca udaremniały nasze poszukiwania w Ameryce. I ja także kochałam człowieka, który nietylko odwzajemniał mi się bezgraniczną, nieskalaną miłością, ale chciał zarazem w obec stryja, będącego moim jedynym opiekunem, dowieść, że nie pragnie jego majątku, gdyż zemną i dla mnie potrafi zawsze być dość bogatym i szczęśliwym. Był on wojskowym; wierzyłam, że przy swej odwadze i zdolności dojdzie wkrótce do znaczenia, chlubiąc się w duszy owem stanowiskiem, jakie miałam zająć przy boku tak zasłużonego człowieka. Niestety! wojna, która miała ziścić moje najdroższe marzenia, zniweczyła je na zawsze. Mój narzeczony ciężko ranny zaległ na długo miejsce w szpitalu, a ja miałam jeszcze tyle pociechy, żem go pielęgnowała w ostatnich chwilach jego okropnych cierpień, i własną ręką zamknęłam te oczy, których ostatnie spojrzenie utkwione było we mnie z taką miłością i niemem błaganiem, iż dotąd widzę je ciągle przed sobą. Wyraz tych oczu gasnących, w których już się odbijał promień nieśmiertelności, przemawiał do mnie, że taka miłość jak nasza nie mogła już być niczem zastąpioną na ziemi... i że odtąd powinnam kroczyć przez całe życie drogą zaparcia się i poświęcenia dla drugich.

Odebrawszy z jego stygnącej ręki zaręczynowy pierścionek, uważałam się za wdowę i poprzysięgłam, iż nikomu odtąd nie oddam mojej ręki. Chciałam natychmiast wstąpić do klasztoru, ale wróciwszy do zamku zastałam stryja tak chorego, że ani podobna o tem myśleć. Przy nadzwyczajnych staraniach lekarzy przyszedł wprawdzie o tyle do zdrowia, że mógł wysłuchać mego postanowienia, ale zamiast przyjąć je z pobłażaniem, wybuchnął gniewem. Nazwał mię romansową i obłąkaną, utrzymując, że śmierć Konrada była najpożądańszym w świecie wypadkiem, ponieważ teraz nie będę się już wzbraniała oddać ręki Franciszkowi, któremu przeznaczoną byłam od dzieciństwa. Gwałtowne wzburzenie, którego doznał wskutek oporu z mojej strony, wpłynęło znowu na pogorszenie jego zdrowia, tak iż przez pewien czas musieliśmy się obawiać o jego życie. Uradziliśmy zatem wspólnie z Franciszkiem, że należało całą tę sprawę pozostawić czasowi, nie przestając jednak pracować bezustannie na korzyść wydziedziczonej.

Na takich to zachodach i obowiązkach przeszły dla mnie blizko dwa lata; nie możesz się teraz dziwić, że dowiedziawszy się kim jesteś, uważałam cię za mego anioła wybawiciela i zamiast nienawidzić cię, pokochałam z całej duszy!

Beata nie odpowiedziała ani słowa, tylko ukrywszy twarz w poduszkach, gorzko zapłakała.

XIV.

Zwyciężona.

Po cichej jesiennej nocy, nastąpił pogodny poranek. Beata opuściła sypialnię i przeszła do jednego z narożnych salonów, który tkliwa miłość narzeczonego zamieniła dla niej w prawdziwy gaik palmowy. Pokój ten, w czasie jej przychodzenia do zdrowia, stanowił najulubieńsze ustronie. Przepyszna roślinność stref gorących, kołysana powiewami ciepłego wiatru wiejącego przez okna, jaśniała w całym blasku i świeżości, podczas kiedy spoczywająca w jej cieniu dziewica zdawała się usychać, jak

podcięty kwiatek. Podobna myśl musiała nawet zajmować jej piękną główkę; odwróciwszy bowiem twarz nacechowaną wyrazem głębokiej boleści od siedzącego obok siebie Franciszka, zatopiła wzrok nieruchomie w obszernym parku, gdzie już liście zaczęły się powłóczyć barwami jesieni. Zdawało się, że prawie nie słyszy miłosnych wyrazów narzeczonego; dźwięk ich dolatywał do jej uszu, ale nie wywoływał echa w sercu. Zajęta całkowicie walką, jaka wrzała w jej duszy, usiłowała zdobyć się przemocą na stanowcze zwycięztwo i przemówiła drżącym głosem:

— Czy pamiętasz Franciszku ową uroczystą chwilę, w której zostałam twoją narzeczoną? Przyrzekłeś naówczas, że nigdy mnie kochać nie przestaniesz. Nic się odtąd nie zmieniło, a jednak będziemy się musieli rozejść z sobą.

Przerażony Franciszek sądził z początku, iż mówiła o swojem zdrowiu i starał się ją uspokoić; ale ona nie dała mu kończyć.

— Nie przez śmierć rozłączymy się Franciszku, ale po prostu dla tego, że jestem niegodną ciebie.

Powiedziała po cichu, ale tak przejmująco i wyraźnie, że każda zgłoska wdzierała się do piersi narzeczonego.

— Wiem dobrze, iż nigdy nie będziesz zdolnym mi przebaczyć, bo w twoich oczach kłamstwo i podstęp zasługują na najwyższą pogardę, a ja nie tylko ciebie, ale was wszystkich oszukałam! Nie chcę teraz dokończyć złego dzieła, które rozpoczęłam. Pragnę być szczerą i wyznam ci otwarcie całą prawdę. Nie jestem Beatą de Silvo. Jestem tylko Edytą Frinksly, biedną, zbłąkaną dziewczyną, którą namówiono gwałtem do przywłaszczenia sobie stanowiska, jakie nigdy do niej nie należało!

Franciszek spoglądał na nią w osłupieniu, ale nie mógł wątpić o szczerości jej wyrazów, tak były one nacechowane prawdą. Edyta stała przed nim jak przed swoim sędzią i nie kłamała w tej chwili.

Zaciemniło mu się w oczach; mimowoli odwrócił się od niej. Cios był zbyt silny. On-że to mógł się zawieźć tak okrutnie? Najlepsze, najpiękniejsze uczucie swojej duszy mógłże zwrócić ku tak niegodnej istocie? Ta piękna maska dziecięcej niewinności złudziła go do tego stopnia, że ją poczytał za zwierciadło pięknej i silnej duszy! Zaiste, w tej chwili był bardziej oburzonym na samego siebie, aniżeli na tę nieszczęśliwą istotę. Błagała dalej:

— Idź za popędem twego szlachetnego serca i nie dołamuj słabej trzciny, lecz zdobądź się na chwilę cierpliwości, ażebym mogła dokończyć mojego wyznania. Wszakże mogę jeszcze naprawić złe, które wyrządziłam, a do tego potrzebuję twojej pomocy. Jeżeli mię kochałeś, to pozostań przynajmniej moim przyjacielem i chciej posłuchać mojej historyi.

Franciszek w milczeniu skinął głową.

— Moi rodzice należeli do uczciwej, lecz niezamożnej irlandzkiej szlachty, którą niedola wypędziła z ojczystego kraju, a młodzieńcze złudzenia zawiodły do Filadelfii. Nie znaleźli oni w niej tego, czego szukali... i tu się spotkali z dawną nędzą. Mój ojciec, piękny mężczyzna, coraz stawał się smutniejszym, a matka coraz obfitsze łzy wylewała. Pewnego dnia popłynęły one z rozdzierającą siłą, bo mój biedny ojciec padł w końcu ofiarą fizycznych i moralnych cierpień, odniesiono go na wieczny spoczynek. To co nastąpiło po jego śmierci, już jest wyraźniejszem dla mej pamięci. Mieszkałam sama jedna z moją matką w nędznej izdebce na poddaszu. Szyła ona po całych dniach, a obraz jej szlachetnej, zgiętej boleścią postaci, pozostał na zawsze wyryty w mojej duszy. Dotąd widzę ją jeszcze, jak z twarzą zwróconą ustawicznie na robotę, pracowała od rana do nocy, niekiedy tylko spoglądając na mnie z miłością i rozrzewnieniem. Najbardziej lubiłam wówczas tak zwaną szarą godzinę, wtedy bowiem korzystając z chwilowej przerwy w zajęciu, brała mię na kolana, opowiadała zajmujące bajeczki, a nakoniec składając moje ręce, uczyła modlić się do Boga.

Ale wkrótce nadszedł czas, w którym już nie mogła ani popieścić się ze mną, ani też zdobywać dalej mozolnego zarobku. Coraz stawała się ona bledszą, bardziej milczącą, a jej wątłe siły niknęły w przerażający sposób. W końcu nie mogła już wcale opuścić nędznego łóżka, a litościwe sąsiadki, które jej doglądały, powiedziały mi... że moja matka poszła do nieba. Prosiłam ich, żeby mnie do niej zaprowadziły, i ani słyszeć nie chciałam o wielkim, pięknym domu, w którym miała na przyszłość pozostawać, aby się bawić i uczyć z innemi dziećmi. A mój płacz i krzyki nie wiele pomogły, zostałam odprowadzoną do owego pięknego domu, który był »Domem przytułku dla sierót.« I cóż mam więcej powiedzieć o mojem ówczesnem schronieniu? jest to tak powszednia przygoda. O takim przytułku każdy może nasłuchać się i naczytać dowoli, ale cały ogrom nędzy i smutku, jaki się w nim zawiera, znać może jedynie ten tylko, co go sam doświadczył. Przecież i wiek dziecięcy nie jest wolny od zgryzot; ja przynajmniej jakkolwiek byłam małą, cierpiałam bardzo, o bardzo, widząc się osieroconą i osamotnioną między obcymi ludźmi. Nikt jednakże nie troszczył się o moje uczucia, o moję zaś osobę troszczono się tylko tyle, że mi nadano numer, pod którym odtąd zaczęłam istnieć w przytułku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dzieciobójstwo w Chinach.

(Dokończenie.)

Za przykładem cesarza Szun-Czy, późniejsi monarchowie chińscy stawali również w obronie nieszczęśliwych dzieci. Następca jego sławny cesarz Kang-Hi (1662—1723), wydał surowe rozporządzenie przeciw dzieciobójcom i kazał go wyryć na kamiennej płycie. Później Kien-Long, wnuk Kang-Ha (1726—1796) wyłuszczył obszernie w swoim dekrecie wszystkie przyczyny tak tyrańskiego zwyczaju. »Najuboższe rodziny poczytują wychowanie dziewcząt za rzecz zbyt kosztowną, inne zaś mniej ubogie pragną uniknąć wydatków, jakie musiałyby łożyć na wyprawę i posag dziewczęcia. Niektórzy wreszcie rodzice, z upragnieniem oczekujący syna, mniemają, że bogowie dopóty nie spełnią ich życzeń, dopóki będą się troszczyli o wychowanie córek.« Odtąd każde dzieciobójstwo, głosi dalej powyższy dekret, będzie karane wygnaniem i 60 uderzeniami kijów bambusowych, krewni zaś i sąsiedzi pod groźbą surowej kary powinni ułatwiać wykrycie wszelkich podobnych zbrodni. Takież same dekreta wyszły za panowania Kia-Kinga (1796—1820), Toko-Kuangu (1820—1850) i Tong-Czy, przedostatniego cesarza, który wstąpił na tron w r. 1861.

Jak widzimy, monarchowie chińscy nie patrzeli wcale przez szpary na zbrodnię dzieciobójstwa, ale niestety, rozporządzenia przez nich wydane żadnego nie wywarły wpływu, o czem świadczy ciągłe powtarzanie się tych samych skarg i gróźb.

»Pomimo wszelkich napomnień, czytamy w odezwie do gubernatora w Szang-Haju, skreślonej przez przedostatniego cesarza w roku 1867, barbarzyński ten zwyczaj nie tylko dotychczas się utrzymywał, ale nawet od chwili wielkiego powstania Taipingów, większe jeszcze przybrał rozmiary i dziś tak dalece już się rozpowszechnił, że w nim nawet nasi poddani nie widzą nic złego. Nietylko bowiem dziewczęta bywają topione, ale nawet młodsi synowie takiemuż samemu ulegają losowi. Najbardziej zaś oburza nas to, że w obecnych czasach wiele zamożnych nawet rodzin dopuszcza się tej zbrodni.«

Potem następują zwykłe groźby, mające na celu zaradzenie złemu. Na uwagę zasługuje zwłaszcza końcowy ustęp

powyższej odezwy. »Chcemy, zaznacza cesarz, aby niniejszy nasz dekret nie był uważany za udatny utwór literacki, służący tylko za rozrywkę czytającej publiczności.«

Jak mały atoli skutek wywarły te słowa, to widzimy z późniejszych dekretów, w których jedna i tażsama skarga ciągle się niemal powtarza. Moglibyśmy też przytoczyć daleko więcej ustępów tego rodzaju, ale sądzimy, że to, cośmy dotąd powiedzieli, wystarcza, aby módz ze wszelką pewnością na podstawie urzędowych i nieurzędowych dokumentów wysunąć następujące wnioski:

1) Że dzieciobójstwo w Chinach nie jest wymysłem, lub wiadomością, podawaną przez misyonarzy, ale istotnym faktem, napotykanym niemal codziennie w obrębie całego cesarstwa, a zwłaszcza w prowincyach Ho-Nan, Hu-Pe, Cze-Kiang, Kiang-Nan i Kiang-Si. Zwyczaj ten utrzymuje się w przeciągu całych stuleci nietylko wśród uboższej ludności, ale nawet w średniej klasie chińskiego społeczeństwa.

2) Że ofiarą barbarzyńskiego tego obyczaju padają przedewszystkiem dziewczęta, chociaż niekiedy i chłopców takiż sam los spotyka.

3) Że wielu wykształconych ludzi w Chinach walczy słowem i pismem z godną uznania gorliwością przeciw tak zgubnemu występkowi, władze zaś rządowe począwszy od samego cesarza aż do mandarynów, wydają niezliczone rozkazy w celu zniesienia dzieciobójstwa. Pomimo jednak wszelkich usiłowań ludzi dobrze myślących, zwyczaj ten zamiast zniknąć, coraz bardziej się rozpowszechnia i trwa dotychczas w całej swej sile. Zresztą bezowocność wszelkich wysiłków krajowego prawodawstwa, jak to słusznie zauważył Ks. de Harlez, nie powinno bardzo dziwić nikogo, kto zna bliżej Chiny i ich mieszkańców. Wobec braku dozoru policyjnego w wielu wypadkach, a zwłaszcza wówczas, gdy natychmiast po urodzeniu się dziecięcia matka lub ktokolwiek z domowników postara się zgładzić je ze świata, zbrodnia ta na zawsze pozostaje w tajemnicy. Zresztą kryminalne chińskie prawodawstwo dopiero przy końcu zeszłego stulecia wyznaczyło surowe kary za dręczenie i zabijanie dzieci, a zwłaszcza chłopców Jeżeli zaś wszystkie te ustawy nie wywarły dotąd należytego wpływu, to dla tego, że wykonawcy prawa nie myślą wcale wprowadzić ich w życie z obawy pogwałcenia przez to władzy rodzicielskiej, która w Chinach jest absolutną, nieograniczoną.

Jakeśmy to już widzieli, pierwsze najdawniejsze dynastye chińskie nie troszczyły się wcale o wykorzenienie tego nadużycia i dopiero cesarze mandżurscy otwarcie przeciw niemu wystąpili. Sami zaś nawet autorowie powyższych dekretów wyznają szczerze, że państwowe ochronki i przytuliska nie są wcale zdolne zaradzić złemu, które też coraz głębsze zapuszcza korzenie.

Wiele jeszcze dałoby się powiedzieć o okrutnym i barbarzyńskim sposobie, w jaki mordowanie biednych dzieci zwykle się odbywa, jak również o różnorodnych przyczynach rozpowszechnienia się tego nieludzkiego zwyczaju wśród narodu, który pod względem oświaty i cywilizacyi stoi daleko wyżej od wielu innych ludów. Dziś jednak chodziło nam jedynie o przedstawienie w należytem swietle przytoczonych powyżej twierdzeń pewnego dziennikarskiego stronnictwa i wykazania, jak dalece nawet europejscy pisarze lubią rozmijać się z prawdą.



„Co nie chcesz, aby ci inny czynił, tego nikomu nie czyń."

W BURZLIWĄ NOC.

Gwiazdy się skryły po za osłony
Ponurych chmur,
Wichry się łączą w akord szalony
W złowieszczy chór.
Światła pogasły w pustej ulicy,
Dokoła mrok,
Gubi się w groźnej, strasznej ciemnicy
Zbłąkany wzrok.
I wnet nieznacznie, cicho, jak zdrada,
Z ciemnością wraz,
Pełznąc, do serca mego się wkrada
Zwątpienia płaz.

* * *

U stropu lampka wisząca płonie,
Rzucając blask
Na Matkę Bożą w złotej koronie,
Szafarkę łask.
Światło na lica Bogarodzicy
Pada i drży...
Zda się, że w smutnej błyszczą źrenicy
Litośne łzy...
I czuję nagle, że ciężar spada,
Com czuł go wprzód,
I w łzy się dusza roztopić rada,
Jak w słońcu lód!...

* * *

Więc schylam głowę w niemej pokorze
Z prośbą bez słów,
Za tym, co rozwiać w duszy nie może
Ponurych snów;
W którego sercu nie ma płomienia,
Co blaskiem swym
Złowieszcze widma nagle zamienia
W znikomy dym...
Za tym, któremu obcą kojąca
Cudowna moc —
A w duszy jego walka bez końca,
Burza i noc...

NIE MOGLI ICH ROZŁĄCZYĆ.

(Dokończenie.)

Adelajda słysząc słowa ojca, ze łzami przyszła mu dziękować, a potem z właściwą sobie żywością podbiegła do Patrascha, szepcząc mu do ucha o szczęściu, które ją spotkało. Prosiła go, żeby się spać położył, ale wpierw żeby zjadł kolacyą sutą, złożoną z mięsa i ciastek; upewniała go, że Nello ostatnią noc przepędza w swojej chacie, bo jutro przeniosą się obydwaj na stałe do młyna i będą szczęśliwi przez całe swoje życie.

Nie tak się jednak stało, jak Adelajda marzyła: Nello nie spał w swej chacie, on przez całą noc uciekał z wioski rodzinnej!

Każda chata, oświecona i zaopatrzona w obfite jedzenie, zdawała się zapraszać przechodnia, ale Nello biegł ile mu sił starczyło do Antwerpii; nie potrzebował się nigdzie zatrzymywać, bo go nikt nie pragnął — pamiętał, jak mu zamknięto drzwi, gdy prosił o kawałek chleba dla Patrascha. Ach dobre jedzenie, to nie dla głodnych, nie dla sierót! a on sam jeden i taki zgłodniały, że nie wie czy dojdzie do katedry. Przyjaciel jego zato już siedzi sobie w ciepłym pokoju, ma co jeść... Na tę myśl Nello się uśmiecha. Nello się mylił: pies nie zapomniał o sierocie; on wyrwawszy się z domu młynarza, w zaspach śniegowych szuka śladów swego pana. Trudno mu to przychodzi, bo śnieg pada nieustannie, co ślad odnajdzie, to straci go znowu, lecz po wielu mozołach dostaje się nareszcie do Antwerpii.

Północ już dawno wybiła na wieży, gdzieniegdzie widać światła w oknach; ciemne mury kamienic odbijają smutnie od śnieżnej powłoki ziemi, wiatr świszczy przeciągle w zaułkach ulic... Patrasche wolno posuwał się w stronę katedry; głód wyczerpał resztę sił jego.

Msza Pasterska już się skończyła,

światła pogasły w kościele, gdy pies podszedł pod drzwi, stanął i zawył radośnie. Drzwi były otwarte, a on tracił już nadzieję połączenia się z panem, wiedząc jak starannie kościelny zamykał wszystkie wejścia. Teraz Patrasche odzyskał siły i w podskokach wszedł do katedry.

Na kamiennej posadzce leżał zziębnięty Nello; Patrasche poruszył jego ciało... »Myślałeś, że cię opuszczę? ja, twój pies?« mówiła ta niema pieszczota.

Nello podniósł się i objął szyję przyjaciela.

— Umrzyjmy razem — szepnął — nikomu na świecie nie jesteśmy potrzebni.

Patrasche przysunął się bliżej i oparł głowę o pierś przyjaciela; nieruchomie spoczywali na ziemi, jeden obok drugiego. Burza morska wyła z północy, od czasu do czasu nietoperze przelatywały nad ich głowami, ze ścian patrzyły obrazy świętych i kamienne posagi męczenników, wszystko w około nich było umarłe, zimne i ciemne — wszystko przypominało im grób, do którego obydwaj wzdychali.

Znużeni zasnęli, a marzenia ich były spokojne i piękne, bo przypominały im przeszłość... Ona chociaż uboga, była tak piękną! Najlżejsze nieporozumienie nie rozdzielało ich nigdy, najmniejsza niewiara nie zachwiała ich wzajemnej ufności... żadna myśl i żądza nieczysta nie zmąciła ich serca... a wieleż to pięknych myśli i uczuć zrodziło się w duszy Nella! Byli więc szczęśliwi... tak mówiła twarz Nella, blada i nędzna a jaśniejąca jakimś spokojem niebiańskim.

Nagle w mury świątyni przedarło się srebrne światło... księżyc rozproszył chmury, śnieg przestał padać a blask ów czysty i biały, jak białe suknie kapłana, padał wprost na obrazy, z których Nello zdarł zasłonę. »Podwyższenie i zdjęcie z krzyża« oświecone było przez minutę, jakby w dzień biały.

Nello wyciągnął do obrazu ręce, łzy uniesienia spływały mu po twarzy.

— Ujrzałem nareszcie! O Boże! to dosyć, dosyć...

Jego omdlałe członki wzmocniły się na chwilę; padł na kolana wznosząc wzrok na arcydzieła Rubensa, do których tęsknił przez całe swe życie. Złociste światło trwało chwil kilka, a było tak łagodne i zarazem jasne, że zdawało się spływać z tronu samego Stwórcy!.. Zniknęło zwolna... W tej chwili na posadzkę upadło ciało sieroty... ramiona jego objęły szyję psa, który nie czuł już tego...

— Zobaczymy Go tam, wysoko! — szeptał sierota; — On nas nie rozłączy ulituje się nad nami...

IV.

Na drugi dzień znaleziono ich obydwóch przed Najświętszym Sakramentem — nieżywych. Twarde życie ziemskie zważyło młodzieńca i wypracowane, zużyte zwierzę. Nad nimi jaśniały arcydzieła Rubensa z rozdartą zasłoną, a pierwsze promienie słońca ozłociły pochyloną głowę Chrystusa ukoronowanego cierniem...

Kilka godzin upływa; do katedry wchodzi starzec z twarzą posępną i mówi:

— Postąpiłem sobie okrutnie z tym chłopcem, dzisiaj chciałbym to naprawić, pragnę z nim podzielić wszystko co posiadam, pragnę go przyjąć za syna.

Pod wieczór wchodzi do kościoła znakomity malarz. Serce jego tchnie litością dla sieroty... ręce gotowe dźwignąć go z nędzy i ciemnoty, dlatego też idzie między tłumy zebrane i mówi:

— Szukam chłopca, który powinien był wczoraj dostać nagrodę za swoję pracę konkursową. Obraz to nie uderzający w oczy, ale z niego wnosić można, czem twórca jego będzie w przyszłości.

W końcu wbiega do świątyni dziecko z jasnemi lokami i ciemnemi oczyma.

— Oh Nello! — woła — wszystko gotowe dla ciebie... ręce dzieciątka Jezus przynoszą ci pełno darów... a matka mówi, że zostaniesz z nami przez całe święta Bożego Narodzenia; o tak! aż do Trzech Króli. Ogrzejesz się przy ogniu... będziesz jadł ciastka i mięso...

Patrasche się ucieszy... a ja, ja cię tak kocham Nello! Nello, obudź się i chódź!

Blada twarz zwrócona na obrazy Rubensa, odpowiadała wszystkim: »Zapóźno!«

Dzwony rozbrzmiewają po polach zasłanych śniegiem, słońce nadało mu pozór brylantów; lud tłumnie spieszy do miasta, a każdy z pomocą dla sierót. Wszystko czegoby teraz zażądali, Antwerpia dałaby im chętnie... lecz Nello i Patrasche nie potrzebowali już litości. Śmierć litościwszą była dla niego niż życie, bo mu ukazała to, czego pragnął, a teraz wzniosła go do świata, gdzie już bólów niema.

Duchy dwóch wiernych przyjaciół rozejść się musiały, lecz pamięć ich trwa zawsze złączona; ciał ich ludzie nie mogli rozłączyć, bo gdy chciano uwolnić szyję psa z rąk sieroty, one się tak strasznie łamały i tak jęczały boleśnie, iż postanowiono zostawić ich w spokoju. Mieszkańcy wioski, zawstydzeni i upokorzeni, wyjednali u władzy duchownej pozwolenie pochowania przyjaciół w jednym grobie, gdzie w serdecznym uścisku spoczywają.

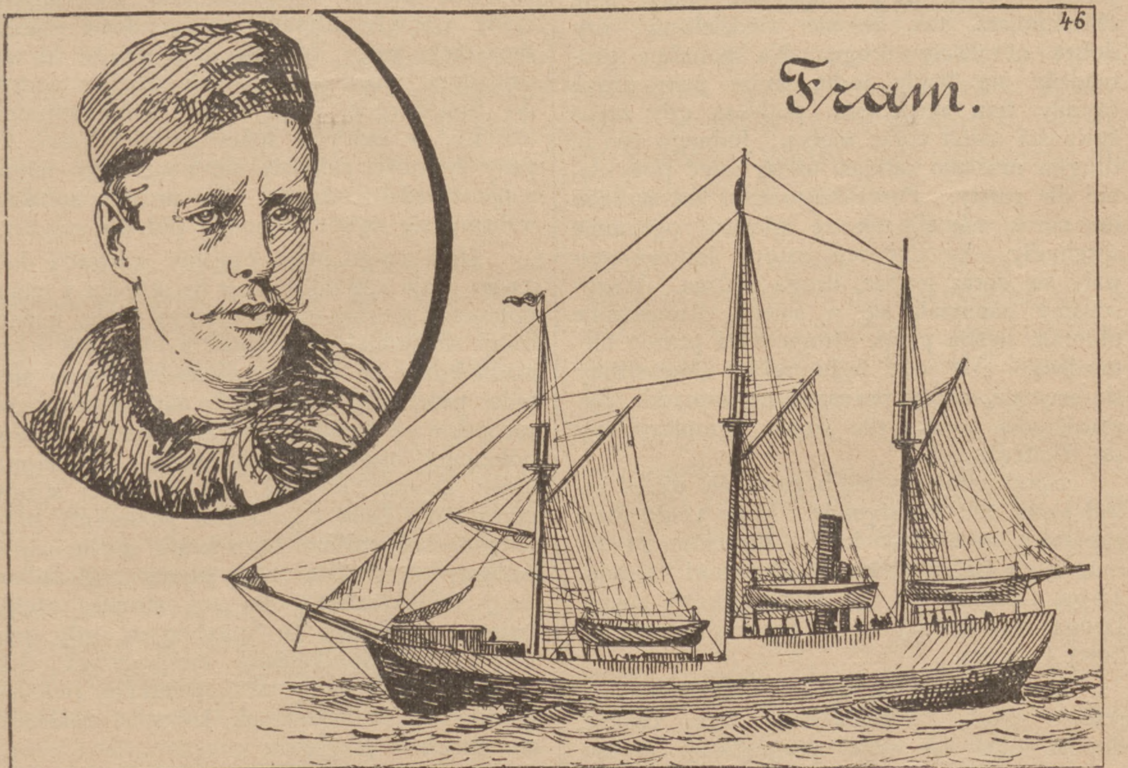
Wyprawa pod biegun północny.

Powiodła się wyprawa śmiałemu podróżnikowi Nansenowi, choć jeszcze niezupełnie. Dotarł on do 86 stopnia 14 minut. Ponieważ odległość od jednego stopnia geograficznego do drugiego wynosi 15 mil geograficznych, przeto brakowało jeszcze Nansenowi do dotarcia do samego bieguna troszkę nad 59 mil. O tej swej podróży pisze on tak: »Okręt »Fram« (Naprzód) opuścił cieśninę Jurgorską (pomiędzy Norwegią, Rosyą a wyspą Nowaja Semlja) w nocy na 4-go Sierpnia 1893 roku i musiał sobie torować drogę wzdłuż wybrzeża syberyjskiego przez wiele lodu. Na morzu Kaspijskiem (pomiędzy Syberyą a Nowaja Semlja) odkryto wyspę a wzdłuż wybrzeża do przylądka Tszeljuskin wiele innych wysp. Dnia 15. Września znaleźliśmy się przy rzece Olenek (wpadającej do morza lodowatego), nie mogliśmy tam jednak wylądować, ażeby zabrać przygotowane dla nas psy na pokład okrętu, ponieważ podróż nasza byłaby się mogła z tego powodu opóźnić o rok cały. W pobliżu wysp sybiryjskich datarliśmy do 78 stopnia 50 minut północnej szerokości i pozwoliliśmy się zamknąć przez lody. Prąd lodów unosił okręt nasz powoli w północnym i północno-zachodnim kierunku, jakto przypuszczaliśmy w planie naszej ekspedycyi. Lody okropnie nasz okręt ściskały, ale »Fram« opierał im się dzielnie. Temperatura gwałtownie opadła i przez całą zimę stała bardzo nisko. Żywe srebro zamarzało przez całe tygodnie; najniższa temperatura wynosiła 52,6 stopni zimna. Cała załoga okrętowa była przez cały czas podróży przy jak najlepszem zdrowiu. Wiatrak znajdujący się na pokładzie statku, dostarczał światła elektrycznego. Każdy spełniał z radością powierzone sobie obowiązki. Lepszych ludzi do ekspedycyi nie można było znaleźć.

Na południe od 79 stopnia wynosiła głębokość morza 175 metrów, na północ wynosiła już 3000 do 3600 metrów. Dno morza wykazywało dziwny brak wszelkiego życia jakiegobądź jestestwa. Wśród podróży czyniono spostrzeżenia wielkiego znaczenia, spostrzeżenia co do atmosfery, magnetyczne i gwiaździarskie. Dr. Blessing obserwował światło północy, badano roślinność i świat zwierzęcy, mierzono temperaturę wody, badano jej zawartość soli, dalej tworzenie się i poruszanie lodów itd. Niejedno z tych spostrzeżeń obali dotychczasowe pojęcia o stanie morza lodowatego. W niewielkiej głębi miała woda aż $^1/_2$ stopnia ciepła. Najbardziej stósunkowo poruszały się masy lodu a my z niemi zimą i na wiosnę, najsłabiej za to latem, gdyż wtedy przeszkadzały nam wiatry północne. Dnia 18. Czerwca 1894 (a więc w $10^1/_2$ miesiąca później) dotarliśmy do 81 stopnia 52 minut szerokości północnej, ale ztamtąd pędziły nas lody znowu ku południu. Dopiero 21. Października udało nam się dotrzeć do 82 stopnia północnej szerokości. W wigilią Bożego Narodzenia osiągnęliśmy 83 stopień, w kilka dni później 83 stopień i 24 minuty, najwyższa do tego czasu osiągnięta szerokość. W dniach 4. i 5. Stycznia 1895 roku wystawiony był »Fram« na najstraszniejsze parcie lodów, jakie przebyliśmy przez cały czas naszej wyprawy. Zamarzł wtedy w lodzie, mającym grubości więcej jak 30 stopni. Coraz to większe masy piętrzyły się po nad statkiem i zdawało się, że go zmiażdżą i zatopią w sobie. Wypróżniono go też na gwałt, ażeby w ostatecznym razie módz

go opuścić. Wszyscy byliśmy przygotowani do dalszej podróży na wielkiej krze lodu. »Fram« jednak przeszedł nasze oczekiwania.

Gdy parcie lodu osiągnęło najwyższy stopień i lód piętrzył się wysoko ponad statkiem, takowy wyrwany został nagle z mas lodu i powoli uniesiony w górę. Nic nie było uszkodzonem. Po tem doświadczeniu upatruję »Fram« za niezwyciężony. Od tego czasu nie mieliśmy żadnego parcia. Najmniejszego uszkodzenia przy »Framie« nie zauważyliśmy. Od tego czasu mieliśmy spokój od lodów. Okręt poruszał się szybko dalej. Ponieważ przewidywałem, że »Fram« na północ od »kraju Franciszka Józefa« (wyspy położone pomiędzy 80 a 82 stopniem szerokości północnej, osięgnie najwyższą wysokość, postanowiłem go opuścić, ażeby morze więcej na północ zbadać. Johannsen (porucznik) był gotów mi towarzyszyć. Kierownictwo »Framu« oddałem w ręce kapitana Sverdrupa. Mam takie zaufanie w jego działalność i zdolności, że nie wątpię wcale, iż załogę sprowadzi zdrowo do domu nawet w tym razie, gdyby miała zajść rzecz najgorsza, to jest gdyby »Fram« miał zaginąć, co uważam za nieprawdopodobne. (I nie zawiódł się dzielny podróżnik. W kilka dni po jego przybyciu do kraju rodzinnego i okręt z załogą szczęśliwie powrócił.) Dnia 3-go Marca osiągnęliśmy 84 stopień 3 minuty. 14-go Marca 1895 opuściłem wraz z Johannsenem »Fram« na 83 stopniu 59 minut północnej szerokości a 102 stopniu 27 minut wschodniej długości.



Było naszym celem zbadać morze więcej na północ, osięgnąć możliwie najwyższą szerokość i powrócić przez »kraj Franciszka Józefa« do Spitzbergen (wyspy, położone pomiędzy 72 a 75 stopniem północnej długości.)

Mieliśmy 28 psów, 3 sanki i 2 kajaki, z sukna, zaopatrzone w żagle. (Kajak jest to rodzaj łodzi podłużnych, jakich używają eskimosi w Grenlandyi. Eskimosi posiadają jednakowoż kajaki z skóry zwierząt. Kajaki mieliśmy na przypadek napotkania otwartej wody. Zapas żywności dla psów obliczony był na 30 dni, dla nas na 100 dni.

Z początku pędził lód bardzo powoli. Dnia 25-go Marca znajdowaliśmy się już na 85 stopniu 30 minut. Było jasnem, że lody pędziły nas szybko ku południowi. Lód poruszał się bezustannie. Musieliśmy wytężyć siły, ażeby torować sobie drogę i przedostać obładowane sanki przez napiętrzone masy lodu. Dnia 4-go Kwietnia znajdowaliśmy się na 86 stopniu 3 minuty północnej szerokości; spodziewaliśmy się lepszego lodu, ale tymczasem było coraz gorzej, a 7-go była droga tak nierówna, żeśmy uznali za stósowne, dalej się już nie posuwać. Znajdowaliśmy się na 86 stopniu 14 minut. Wyruszyliśmy jeszcze ku północy kawał na skich (rodzaj łyżew, którymi posługują się w Szwecyi i Norwegii, gdzie zimą przy ogromie zasp śnieżnych trudnoby było

inaczej wzajemną komunikacyę utrzymać.) Przyszliśmy jednakowoż do przekonania, że dalsza podróż jest niemożliwą. Wszędzie, jak okiem zasięgniesz, niezmierzone góry lodów, zakrywające widnokrąg swym ogromem. Temperatura przez cały ten czas była bardzo nizka, wśród trzech tygodni około 40 stopni zimna wynosząca. Dotkliwie nam się też dała we znaki, bo mieliśmy na sobie co prawda dobre wełniane ubrania, ale bardzo lekkie. Futra nasze pozostawiliśmy na »Framie«, ażeby sanki nie były za ciężkie.

W Marcu był mróz wynoszący najmniej 24, najwięcej 45 stopni, w Kwietniu najmniej 20, najwyżej 38 stopni. Ziemi jakiejkolwiek nie można było zauważyć. Dnia 8-go Kwietnia ruszyliśmy z powrotem ku »krajowi Franciszka Józefa.« Dnia 12-go Kwietnia stanął nam chronomierz, tak, że nie wiedzieliśmy, czy dobrą obraliśmy drogę. Na południe gromadziły się bryły lodu, które nam drogę czyniły tem uciążliwszą, podczas gdy zapas żywności malał coraz więcej. Jednego psa za drugim musiano zabijać, ażeby mieć pożywienie dla reszty. Porcye żywności uszczuplano im coraz więcej, tak że wkrótce ogromnie wychudły. W Czerwcu zatory lodowe stawały się coraz gorsze, droga nędzna. Wszyscyśmy zanurzali się w śniegu, bezustannie ubierała liczba psów, droga była prawie niemożliwą. Ale cóż było robić. Musieliśmy się męczyć, ażeby poruszać się naprzód. Żywność dla psów i dla siebie ograniczyliśmy do ostateczności.

Spodziewaliśmy się bezustannie ujrzeć kawał ziemi, ale nadaremnie. Dnia 31-go Maja zapędzeni zostaliśmy ku 82 stopniowi 21 minut, 4-go Czerwca ku 82 stopniowi 18 min., 15-go Czerwca ku 82 stopniowi 26 minut. Droga stawała się coraz to bardziej zagadkową i gorszą.

Dnia 22-go Czerwca upolowaliśmy nareszcie fokę. Postanowiliśmy teraz czekać, dopóki śnieg nie staje, pragnęliśmy zaś żyć mięsem z fok. Ubiliśmy także i trzy niedźwiedzie. Dwa psy, które jeszcze posiadaliśmy, żywiliśmy bardzo dobrze. Dnia 23-go Lipca ruszyliśmy dalej i ujrzeliśmy 24-go Lipca nieznaną krainę. Znajdowaliśmy się może na 82 stopniu północnej szerokości. Lód popękał wszędzie i tworzył szczeliny. Takowe zapełnione były jednakowoż bryłami lodu i szlamem lodowym, tak że kajaków naszych absolutnie użyć nie mogliśmy. Musieliśmy z wytężeniem wszystkich sił przeskakiwać z jednej bryły na drugą.

Dotarliśmy nareszcie do kraju owego 6-go Sierpnia. Znajdowaliśmy się wtedy na 81 stopniu i 38 minut północnej szerokości i odkryliśmy 3 wyspy, które nazwałem »Hvittenland.« Dnia 18-go Sierpnia byliśmy przez cały tydzień zamkniętymi w lodzie. 26-go Sierpnia dotarliśmy do krainy pewnej na 81 stopniu 12 minut północnej szerokości i 56 stopniu wschodniej długości, która wydawała nam się odpowiednia do przezimowania. Uznaliśmy za rzecz najodpowiedniejszą pozostać tu i przygotować się do przezimowania, ponieważ do długiej podróży do Spitzbergen była pora za późna. Polowaliśmy na niedźwiedzie, które służyły nam za pożywienie, konie morskie na materyał palny. Wybudowaliśmy chatę z kamieni, ziemi i mchu, a dach okryliśmy futrem koni morskich. Okrasa z takowych służyła nam do gotowania, ogrzewania i oświecania. Mięso z niedźwiedzi i okrasa były jedynem naszem pożywieniem, futro z niedźwiedzi naszem łożem. Zima upłynęła dobrze i zdrowie nasze było wyśmienite. W końcu nadeszła wiosna z promieniami słonecznymi. Lody poczęły topnieć na zachodzie i południu-zachodzie. Zdawało nam się, że na wędrującym lodzie szybko odbędziemy podróż do Spitzbergen. Uszyliśmy sobie ubrania, miechy, w których spaliśmy itd. Nasze zapasy żywności składały się z surowego mięsa, z niedźwiedzi i okrasy. Po drodze spodziewaliśmy się wystarczającego połowu.

Dnia 19-go Maja byliśmy gotowi i dnia 23-go Maja natrafiliśmy na 81 stopniu 5 minut północnej szerokości na otwartą wodę, musieliśmy się jednak wstrzymać z odjazdem z powodu burzy aż do 3-go Czerwca. Na 81 stopniu północnej szerokości napotkaliśmy na zachodzie na wielką krainę. Z zachodu z strony północnej otoczona była wodą. Postanowiliśmy dotrzeć do niej z południowej strony przez lód. Dnia 1-go Lipca stanęliśmy przy południowej stronie tego kraju, gdzie napotkaliśmy na otwartą wodę płynącą od zachodu. Wiosłowaliśmy ku tej stronie, ażeby ztamtąd popłynąć ku Spitzbergen, gdy dnia 18-go Lipca spotkaliśmy niespodzianie ekspedycyą Jacksona — niespodziewane, radosne spotkanie. W mieszkaniu Jacksona znaleźliśmy gościnne przyjęcie.

»Kraj Franciszka Józefa« opuściliśmy dnia 7-go Sierpnia na statku »Windward.« Do »Vardö« (osada na wybrzeżu Norwegii) mieliśmy dobrą i krótką podróż dzięki zdatności, z jaką kapitan Brown kierował swym okrętem wśród lodów.«

To jest opis wyprawy, skreślony przez samego Nansena. Wielki to musi być człowiek i duchem, skoro w tak pojedyńczy sposób opisuje swą wyprawę. Widać, że mu nie zależy na chwale ludzkiej, bo nie dla niej ważył swe życie, ale dla nauki. Nie odkrył on co prawda bieguna północnego, ale pokazał, że jest rzeczą ludzką odkryć go. Na podstawie rozlicznych doświadczeń, jakich dokonał w ciągu tak mozolnej swej wyprawy znajdzie się zapewne inny śmiałek, który nową wyprawę podejmie. Kto wie, czy i Nansen

sam tego na nowo nie uczyni. W każdym razie zasłużył sobie stanąć godnie obok takiego człowieka, jakim był Krzysztof Kolumb, który odkrył Amerykę.

Okręt jego po również mozolnej i nadzwyczaj uciążliwej podróży przypłynął szczęśliwie do Norwegii. Czułe uściski i powitania ludzi okrętowych z Nansenem i jego towarzyszem, którzy ze sobą znowu się połączyli po długiej przerwie, były wyrazem niewysłowionej wewnętrznej radości, że 3 lata spędzili w trudzie i mozole, nie żyli w nich dla siebie, ale spędzili je dla nauki, dla ludzkości. Czują nieskończone zadowolenie, że zrobili dla ludzkości więcej, jak tysiące innych przez życie całe.

JERZY STEFENSON,

WYNALAZCA LOKOMOTYWY.

Znakomity ten mechanik urodził się dnia 9-go Czerwca 1781 roku w Wylam pod Newkastl (Niukestl), gdzie ojciec jego był majstrem piecowym w kopalni węgla kamiennego. Rodzeństwo jego składało się ze starszego odeń brata, dwóch braci i dwóch sióstr młodszych.

Rodzina Stefensonów należała od najdawniejszych czasów do klasy wyrobniczej. Ojciec Jerzego odznaczał się talentem bajarza i zwykle wieczorami, robotnicy, tak mężczyzni i kobiety zbierali się licznie około jego ogniska dla słuchania powiastek starego Stefensona. Matka Jerzego była to niewiasta zabiegła i gospodarna, posiadająca dużo naturalnego zdrowego rozsądku. Jerzy od maleńkiego używany był do rozmaitych posyłek, poza obrębem kopalni; w domu miał obowiązek dozorowania młodszego rodzeństwa, ażeby które nie dostało się pod koła wagonów naładowanych węglem, ciągnionych końmi około mieszkania po kolejach drewnianych. Kiedy doszedł lat ośmiu, jeden z sąsiadów jego dawał mu po 10 groszy dziennie za pilnowanie krów, w pewnej odległości od kolei. Wtedy to zmuszony siedzieć całemi godzinami, począł lepić z glinki machiny, w nadziei, że kiedyś podobnie jak ojciec jego pracować będzie w jakiej fabryce. Tymczasem rozmaicie był zatrudniany: jakiś czas zarabiał po 20 groszy dziennie przy kopaniu rzepy, następnie doszedł do złotego przy oczyszczaniu węgla z fusów i ziemi; wreszcie mając lat 14, mianowany został pomocnikiem swego ojca z płacą dwóch złotych dziennie. Niedługo potem pilność jego i wyższa zdolność umysłowa zjednała mu miejsce maszynisty z płacą czterech złotych; wtedy to zawołał: Widzę, żem stworzony, by być czemś na świecie.

W 17 roku Jerzy nie umiał jeszcze czytać, ale z natury wynalazca, udoskonalał wszystko, co go dotyczyło. Miłował on swoję maszynę, jak myśliwy broń swą ulubioną. Dniem i nocą zajęty był ustawianiem jej, czyszczeniem i porządkowaniem. Szybko postępując po stopniach, prześcignął swojego ojca, z czego ten bardzo był dumnym. Jerzy czując potrzebę nauki, nie wstydził się chodzić do szkółki wieczornej, gdzie się uczył czytać, pisać, rachunków i wkrótce prześcignął w nich nie tylko swych współuczniów, ale samych nawet nauczycieli, co mu jednak nie przeszkadzało wzmacniać ciało ćwiczeniami gimnastycznemi. Kiedy wreszcie otrzymał miejsce nadzorcy przynoszące 42 złote tygodniowo, ośmielił się pójść za głosem serca, które już przemówiło. Pokochał on był z całym zapałem pierwszej młodości, miłą i słodką dziewczkę Fanny Henderson, a gdy wyższa owa płaca pozwoliła mu pomyśleć o małżeństwie, nie zwlekał dłużej i w roku 1802, mając wtedy lat 21, poślubił swoją ulubioną.

W rok niespełna obdarzyło ich niebo synem, któremu dali imię Roberta, a który stał się później jednym z najpierwszych mechaników europejskich.

Szczęśliwi aż dotąd Stefensonowie zaczęli doznawać rozmaitych przeciwności; mały ich domek nawiedził kolejno ogień i woda. Jerzy będący opatrznością całej rodziny, zaradzał wszystkiemu. Rzecz szczególna, iż wziąwszy się do reparacyi starego zegaru wieżowego, takiego do tej roboty nabrał gustu, że stał się wprędce jednym z najzdolniejszych zegarmistrzów w całej okolicy.

Po roku ciągłej pracy i niedostatku, przeniósł się o 7 mil angielskich od Newkastl ($1\,^1/_3$ mili pruskiej); zaledwie się tam osiedlił, wnet utracił ukochaną swoję małżonkę. Ze ściśnionem sercem uciekając z miejsca, przypominającego mu świeże nieszczęście i powierzywszy pozostałe dziecko ojcu, puścił się w podróż, w której przebiegł piechotą większą część Szkocyi. Ale gdy ojciec jego wzrok utracił, biedny Jerzy musiał powrócić, by pielęgnować w starości i kalectwie rodziców i małego Roberta.

Przy ciągłej pracy ukoił się nieco w swej boleści, zajmując się jednocześnie zegarmistrzostwem, szewstwem a nawet krawiectwem. Sława jego jako doskonałego krawca, utrzymuje się dotąd w okolicy gdzie mieszkał. Wśród tych zajęć powołany został do służby wojskowej, gdyż wybuchła wojna tak na lądzie jak na morzu; ale dzięki swej oszczędności i pracowitości był w stanie opłacić za siebie zastępcę.

W kopalni, w której pracował jako nadzorca, znalazł sposób znakomitego oszczędzania paliwa; maszyny wybrakowane sam restaurował. Mechanicy śmiali się z niego, a jednak nieraz zmuszeni byli udawać się do niego po radę; zdarzyło się nawet, że kosztowną maszynę uznaną zupełnie za niezdatną, przez rozmaite ulepszenia przyprowadził do stanu użyteczności, za co otrzymał 400 złp. gratyfikacyi i powiększenie pobieranej płacy. Po kilku latach Stefenson w skutek oszczędności i zdolności znalazł się w posiadaniu 4000 złp. i w stopniu podmajstrzego z płacą 4000 rocznie.

Na dwa wieki przed Stefensonem, próżniacza gawiedź paryzka biegła oglądać w domu obłąkanych Salomona de Kaus, śmiejąc się do rozpuku, gdy im ten dowodził, iż za pomocą pary można poruszać wozy i statki. A jednak Watt, opierając się jedynie na odkryciu Salomona, zastósował parę jako siłę poruszającą; lokomotywa nie była jeszcze znaną. Usiłowano wprawdzie poprawić budowę dotychczasowej kolei drewnianej do przewozu końmi węgla kamiennego, podkłady drewniane zastąpiono kamiennemi; wszakże pierwszy dopiero Stefenson stał się dla lokomotywy tem, czem był Watt dla machiny parowej.

W roku 1813 Lord Rawenswort dostarczył mu potrzebnych funduszów do zbudowania pierwszej lokomotywy, przeznaczonej do jego kopalni węgla.

Miano go za waryata; jednak Stefenson zbudował swoją maszynę, którą nazwał Milordem. Była ona w stanie przy ładunku 80 beczek, przebiedz w godzinę przestrzeń jednej mili, to jest wyrównywała sile jednego dobrego konia. Otóż to wielki wynalazek, wołano zewsząd: jakaż z niego korzyść? Korzyść to wielka, odpowiedział Stefenson, ja to wam mówię. Machina porusza się, w tem całe zadanie; co do szybkości biegu, to się zajmę nią z kolei.

W tym samym roku Jerzy wynalazł dla górników lampę bezpieczeństwa, za którą otrzymał tytułem nagrody od rządu 40,000 zł. Sumę tę przeznaczył na wychowanie swego syna, którego posłał do uniwersytetu w Edinburgu.

W tym czasie ożenił się powtórnie z córką sąsiedniego dzierżawcy. Bezprzestannie przecież zajmowała umysł jego lokomotywa i zapewnienie jej szybkiego biegu po kolei żelaznej.

Potrzeba jest matką wynalazku, powiada przysłowie. Miasto Manszester od najdawniejszych czasów otrzymywało bawełnę z Liwerpolu. Pomimo licznych dróg i kanałów, ułatwienia wzajemnej komunikacyi pomiędzy temi dwoma miastami nie były dostateczne; kolej żelazna byłaby od razu tej niedogodności zaradziła.

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Pszczoły.

Do najciekawszych zwierzątek należą pszczoły. Już wiele o nich pisaliśmy. Znowu o rzeczy podziwienia godnej pomówimy, mianowicie o tem, jak pszczoły zachowują miód od zepsucia.

Starsze pszczoły, lotne, zbierają miododajny pyłek z kwiatów, młodsze pszczoły, domowe, starają się o miód w spiżarni, w ulu. Starsze pszczoły składają miód w celkach. Potem zajmują się też przechowaniem miodu trutnie, pszczoły robocze. Pszczoły tak sobie przytem postępują: najpierw pszczoła zwilża małe miejsce na spodzie celi przez lizarnie, na co spuszcza kropelkę miodu. Każda pszczoła dodaje kroplę miodu, póki się cała cela nie napełni miodem. Powierzchnia miodu jest przytem zawsze okrągława, ponieważ miód jest gęsty, trzyma się kupy, a ścian woskowych mało się czepia. Na powierzchni miodu tworzy się delikatna skórka podobnie jak to się dzieje na mleku. Pszczoły przynosząc nowy miód, odsuwają skórkę i pod nią wpuszczają kroplę świeżego miodu ze swego żołądka miodowego, miód się łączy z drugim, skórka się podnosi, dla tego pszczoły mogą suchą nogą chodzić po miodzie, chociaż wszystkie celki są aż po wierzch napełnione, miód się nie narusza. Kiedy się uważa na pszczoły chodzące po miodzie, to się widzi jak wysuwają żądło swoje jadowite. Ponieważ pszczołom nikt nie przeszkadza, to nie wysuwają żądła jadowitego ze złości, tylko muszą mieć coś innego na oku. Jeżeli na wieczór słońce świeci, to się widzi dokładnie, że na końcu żądła wisi kropelka jadu, którą pszczoły wpuszczają w miód. Ponieważ jad pszczoły składa się z kwasu mrówczanego, dla tego znajduje się w miodzie ten kwas. Wiedziano o tem, lecz nie wiedziano, zkąd pochodzi, bo z kwiatów nie mógł się dostać w miód, ponieważ kwiaty nie zawierają tego kwasu. Pszczoły wpuszczają kwas, nim zalepią celkę napełnioną miodem.

Kwas mrówczany zachowuje bardzo wszystko od zgnilizny i zepsucia, jest lepszy do tego, aniżeli kwas salicylowy lub fenol, mianowicie zachowuje znamienicie cukier, ponieważ cukier nie fermentuje skutkiem kwasu mrówczanego. Dla tego pszczoły dodając do swego miodu kwas, krótko przedtem zalepią celkę z miodem. Dla tego też trzeba do miodu dodać wody i gotować go, aby wydobyć z niego kwas mrówczany, aby mógł fermentować. Uczeni robili próby z różnymi miodami i przekonali się o tem. Miód wydobyty z celek niezakrytych nie miał w sobie kwasu mrówczanego i wnet fermentował. Jeżeli się doda do takiego miodu $^1/_{10}$ procentu kwasu mrówczanego, to nie zmienia się przez kilka lat, podobnie jak miód wydobyty z celek zamkniętych, do którego pszczoły dodały kwasu mrówczanego. Taki miód trzeba wyczyścić, aby nie miał smaku gryzącego. — Jeżeli się odbierze pszczołom miód, nim zamkną celki, to można dodać sztucznego kwasu mrówczanego, aby się trzymał, a pszczołom oszczędzi się wiele pracy, nie potrzebują wpuszczać kwasu, zamykać celek i mogą więcej miodu narobić.

Ludność żydowska

na obszarze byłej rzeczypospolitej polskiej.

Znane czasopismo »Przegląd Wszechpolski« umieściło niedawno artykuł p. Komornickiego pt. »Ogół ludności polskiej«.

Dziś zwracamy uwagę za nader ciekawy ustęp odnoszący się do ludności żydowskiej.

Pan K. podaje, że żydzi z cyfrą przeszło 4,400,000 głów wysuwają się na obszarze 3 mocarstw Austryi, Rosyi i Prus po ludności polskiej i ruskiej na trzecie miejsce.

Gdy ogół ludności żydowskiej na całym świecie nie dochodzi do 9 milionów, powyższa cyfra powiada nam, iż ani mniej ani więcej jak większa połowa wszystkich żydów skupiła się na ziemiach byłej rzeczypospolitej polskiej, i że żydzi stanowią tutaj $^1/_8$ część ludności.

Całe państwo niemieckie liczy ich pół miliona, Francya tylko 30,000.

Jest to więc ilościowo ważny czynnik w naszem społeczeństwie, z którym w wielu wypadkach liczyćby się należało. Przedewszystkiem zapytać wypada: Czy i o ile ten żywioł obcy, ale od wieków śród ludności polskiej osiadły, potrafił się choć trochę zasymilować, przystosować do naszej ludności i pozyskać z nią wspólne ideały, — czy przeciwnie stoi od wieków na stanowisku

od nas odosobnionem, a nawet niekiedy nam wrogiem?

Odpowiedź na to nie trudna.

Żydzi nie asymilują się i nie łączą z nami.

Fakt to jawny.

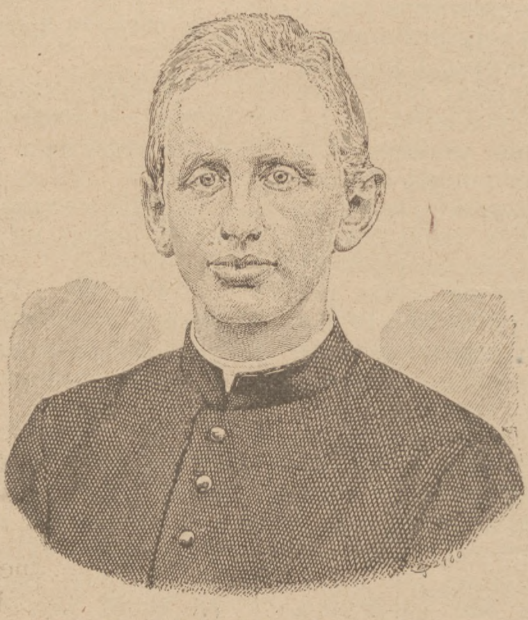
Na ziemiach polskich tylko w Galicyi i to w ostatnich czasach zaczęli się oni przy spisach zapisywać jako »Polacy« w rubryce języka polskiego; w Prusach z wyjątkiem 1800, reszta zapisała się do Niemców. W Rosyi wreszcie, w zabranych prowincyach, dziś już noszą oni więcej cech moskiewskich żydów i pomimo ucisku bardziej sprzyjają rządowi, niż miejscowemu żywiołowi. W Ameryce również żydzi z Polski przybyli są wszystkiem, tylko nie Polakami. Wreszcie oto cyfry pana Komornickiego.

Na zasadzie badań napoważniejszych twierdzi on, że z 4 i pół milionowej warstwy żydowskiej garstka »mieniących« się Polakami stanowi: 15—20,000 w Królestwie Polskiem, 10,000 w Galicyi i nareszcie 1800 pod zaborem pruskim. (?)

Wedle spisu z r. 1890 ludność żydowska w Galicyi wynosi 772,213 czyli 11,69%; jeżeli więc od tej cyfry odejmiemy owych 10,000, przyznających się do narodowości polskiej, pozostanie jeszcze poważna cyfra 752,213 żydów, zasilających kraj polski żywiołami obcymi.

Ks. książę Maksymilian saski.

Dnia 26-go Lipca b. r. wyświęcony został na kapłana w stolicy biskupiej w Eichstätt w Bawaryi bratanek króla saskiego, książę Maksymilian. Ojcem jego jest brat króla, feldmarszałek wojsk niemieckich, książę Jerzy. Wypadek ten świadczy dobitnie, że wiara w Boga i w życie przyszłe w rodzinach najwyższych, przeznaczonych do kierowania społeczeństwami, jeszcze niezupełnie wygasła, że potęga Kościoła katolickiego jest niezłamaną, nienaruszoną, jak to wiecznie dowodzą nieprzyjaciele Jego, którzy upatrują niedalekie rozpadnięcie się Kościoła Chrystusowego. Wrażenie, że potomek krwi królewskiej pogardza dobrami doczesnemi a w szacie kapłańskiej pragnie pracować dla nieba, jest bardzo wielkie. Zniewieściały, zmateryalizowany świat nie chce pojąć, ażeby taka osobistość czyniła taką ofiarę z wewnętrznego przekonania. Właśnie, jeżeli kiedy, to chyba w tym razie można śmiało twierdzić, że księciem kierowały najszczytniejsze zamiary. Nie byłby on przyodziewał skromnej sukni kapłańskiej, gdyby nie miał powołania do stanu duchownego. W każdym razie Kościół katolicki chlubić się może z powyższego wypadku, bo świadczy on najdobitniej o niewyczerpanej potędze Jego, »której i bramy piekielne nie przemogą«.



Ks. książę Maksymilian saski.

Prymicye odprawiał młody kapłan w kaplicy królewskiej w Dreznie jak najuroczyściej. Byli na nich obecni król i królowa sascy, ojciec prymicyanta z małżonką i pełno innych książąt i księżniczek oraz dostojników duchownych i świeckich. Wśród uroczystej procesyi towarzyszyli mu biskupi i duchowieństwo ku ołtarzowi, gdzie mu asystowało trzech starszych duchownych. Wśród mszy świętej przyjął komunią świętą, której udzielił następnie królestwu i wszystkim członkom domu królewskiego. Przy końcu pobłogosławił wszystkich obecnych. Uroczystość trwała dwie godziny. Na ulicy liczna publiczność utworzyła szpaler.

W księciu Maksymilianie saskim płynie krew Jana Sobieskiego. Książę Maksymilian jest potomkiem w prostej linii po Teresie Kunegundzie Sobieskiej, księżnej bawarskiej i zarazem Augusta II, który z elektora saskiego królem obrany, przed wstąpieniem w granice swego królestwa złożył wyznanie wiary katolickiej 27 Lipca 1697 roku w Niemieckich Piekarach na Górnym Śląsku.

Po takiem wyjaśnieniu, opartem na statystycznych danych, nie ma już więc chyba o czem dłużej mówić.

Osiągnięty przez nas dotychczas skutek polityki tak zwanej przyjacielskiej czyli mówiąc innemi słowy, polityki zmierzającej do spolszczenia lub przynajmniej sharmonizowania żydów i wcielenie ich w nasze społeczeństwo, jest wprost — śmieszny.

Na tę warstwę ludności w Polsce ani liczyć, ani na niej się opierać nie możemy.

Dopóki żydzi opierać będą w znacznej części swój judaizm na przestarzałym talmudzie, dopóty o zlaniu się ich z Polakami i mowy być nie może, — tak samo jak nie może być mowy o łączności z Moskalami, u których narodowość ściśle związaną jest z prawosławiem.

Praktyczne rady.

— **Przechowanie cytryn.** Oszczędna gospodyni powinna zaopatrywać się w cytryny wówczas, kiedy są najtańsze. Przechowanie ich nie jest trudne: trzeba każdą sztukę owinąć w angielską bibułkę, albo posmarować białkiem, żeby nie dopuścić przystępu powietrza. Potem układa się owoce w pudle papierowem, przesypując je trocinami; w pokrywce wiercą się dziury a pudło stawia się w miejscu suchem, przewiewnem. Przed użyciem cytryny trzeba ją przez kilka godzin potrzymać w zimnej wodzie, a będzie jak świeża.

Rozmaitości.

* **Pierwszy welocyped** ukazał się we Francyi przy końcu zeszłego wieku, a przejażdżki na nim stanowiły ulubioną rozrywkę ówczesnej złotej młodzieży. Składał on się z dwóch kół równych i nizkich; do każdej osi przytwierdzone były widełki, na których oparta deseczka służyła za siodło welocypedystom. Nogi ich dotykały ziemi, uderzając o nią wprawiali dopiero w ruch przyrząd. Można go jednak było używać tylko w miejscach zupełnie równych. Wkrótce jednak został zarzucony i dopiero w r 1855 ślusarz paryzki Michaux wpadł na myśl zastósowania pedałów do przyrządu. Syn jego i inni mechanicy stopniowo go ulepszali, aż wreszcie w r. 1869 welocyped przybrał postać, jaką ma obecnie i stał się istotnie pożytecznym.

* **Styrya** jest jedyną na świecie prowincyą, gdzie zażywanie arszeniku jest ogólnie rozpowszechnione i nietylko żadnej dla organizmu nie przynosi szkody, lecz owszem wpływa bardzo korzystnie na zdrowie i siły. W ośmnastym roku życia już zaczynają go tam zażywać, ograniczając się z początku na dozach wielkości ziarnka prosa; później biorą co raz większe i dochodzą do kawałków wielkości grochu. Kto raz się do tego przyzwyczai, nie może już zaprzestać, gdyż doznaje wielkiego osłabienia. Kobiety rzadko kiedy zażywają arszenik.

* **W średniowiecznych kronikach** często napotykamy wzmianki o procesach wytaczanych zwierzętom; postępowanie sądowe było takie jak dla ludzi: oskarżonym wyznaczano obrońcę z urzędu. Bartłomiej de Chasseneux, znakomity prawnik z XVI-go wieku, zasłynął jako adwokat szczurów, obwinionych o zniszczenie zasiewów w Burgundyi. Dowiódł on, że jego klienci nie otrzymali sądowego wezwania, nie mogli więc stawić się przed kratkami; wskutek tego żądał odroczenia sprawy. Sąd przyznał mu słuszność i nakazał wezwać winowajców. Szczury naturalnie nie stawiły się, ale Chasseneux domagał się powtórnego odroczenia, gdyż klienci jego, z powodu wielkiej liczby kotów, nie mogli przybyć do miasta. Sprawę ostatecznie umorzono. W Moguncyi, w XIII-ym wieku, wytoczono proces komarom i skazano je na wygnanie. W Bazylei, w roku 1474, kogut został skazany na stós a wyrok został spełniony w obecności wielkiego tłumu.

* **Japończycy nigdy nie klną;** język ich nie posiada odpowiednich wyrazów.

* **Jak wielką jest siła wody,** najlepiej wykazał zakład rozegrany świeżo w Ameryce. Dwóch ludzi założyło się, że najsilniejszy mężczyzna nie wytrzyma, jeżeli będą mu spuszczać na rękę kwartę wody po kropli, z wysokości trzech stóp. Jeden z nich, barczysty siłacz, był pewny, że wygra; tymczasem po pięciuset kroplach zaczął krzyczeć, że dłużej nie wytrzyma. Zdawało mu się, że każda kropla strzaska mu rękę, a na dłoni utworzył się pęcherz. Dobrze mówi przysłowie, że kropla spadającej wody wyżłobi kamień.

* **Przeciętna waga** ludzkiego serca wynosi $9^1/_3$ łuta; w Londynie umarła niedawno trzydziestoletnia kobieta, Amelia Holland, której serce ważyło dwa razy tyle, to jest $18^1/_2$ łuta. Pewien lekarz angielski widział serce ważące 40 łutów. Zdaniem Huxleya, objętość serca danej osoby równa się wielkości jej pięści.

ŻARTY.

— Człowieku! powinniście sobie dać obciąć Wasze uszy, one są dla was za wielkie, — mówił dumny panicz miejski do chłopa na wsi, ciągnąc go za ucho.

— Patrzcież tylko, jakie my obaj mamy równe myśli. Ja bowiem myślałem — odparł chłop, — że Panu należałyby się większe uszy. Dotychczasowe są bowiem za małe dla osła.

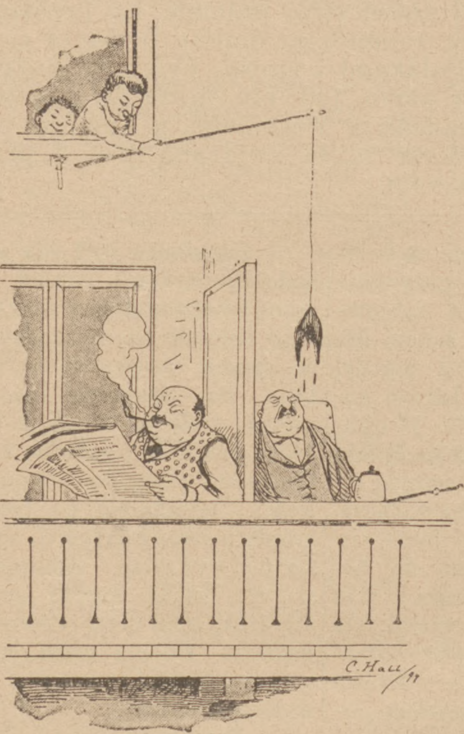
Zabytki rodzinne.

Sędzia: Gdzie kupiłeś narzędzia, za pomocą których wdarłeś się do mieszkania?

Oskarżony: Panie sędzio, zaklinam się, że ich nie kupowałem: to są pamiątki po moim czcigodnym ojcu!...

Z małego nieporozumienia najgorsze skutki wyniknąć mogą.

1.



Dwóch wygodnisiów po smacznej potrawie.
Pragnie wygodnie wypocząć na ławie.
Dwóch smyków niesfornych ich spokój zakłóca,
Jednemu na głowę zmoczony płat rzuca.

2.



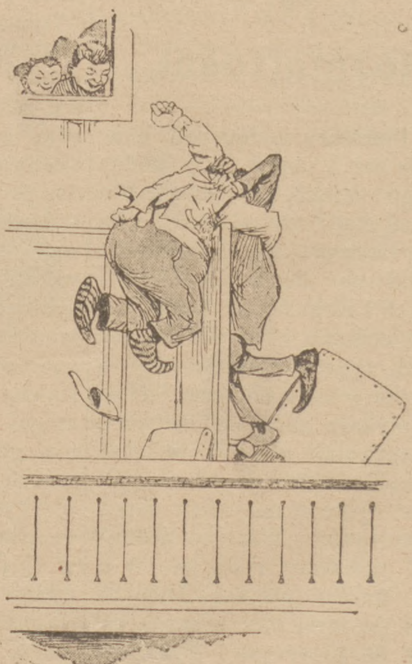
Zrywa się tłuścioch po takiej tuszy,
O mało że go paraliż nie ruszy
Smyki tymczasem od okna znikają
Biedaka z płatem pozostawiają.

3.



Ogląda się tłuścioch wodą skąpany
Gdzie winowajca domniemywany.
Dostrzegł sąsiada. „To on więc zatem.“
I pana brata częstuje płatem.

4.



Taka zniewaga obrusza sąsiada
Niemiłosiernie go pięścią okłada,
Sprawcy zaś nową uciechę mają
Z radością wielką rąk zacierają.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.